

Maroko 2014

Dzień 1. (16.01.2014. Czwartek) Warszawa – Tangier

Na podróż do Maroko zdecydowaliśmy się około półtora miesiąca wcześniej. Chcieliśmy gdzieś odskoczyć od zimy, ale ciężko było coś znaleźć blisko i tanio. Maroko w styczniu i lutym jest dość chłodne na północy, ale z drugiej strony na południu potrafi być nawet 25 stopni Celsjusza, więc w porównaniu zimą w Polsce to super!

Na 4 dni przed wyjazdem wszyscy się pochorowaliśmy, a w najgorszej sytuacji znalazł się Szymon, który złapał małe zapalenie płuc! Już pogodziliśmy się z myślą, że nie pojedziemy. Dzień przed wyjazdem poszliśmy na kontrolę lekarską i okazało się, że Szymon był już w dobrym stanie. Pediatra powiedziała też, że dzieci w takim wieku (1,5 roku) często lekko przechodzą taką chorobę. Stwierdziła, że ona na naszym miejscu nie przekładałaby wyjazdu, choć gwarancji że nic się nie stanie oczywiście nikt nam nie da. Zmiana klimatu na cieplejszy dobrze zrobiłaby Szymonowi. Podjęliśmy decyzję, że pojedziemy.

W Polsce tego roku długo nie przychodziła mroźna zima. Często było ciepło jak jesienią. W połowie stycznia, akurat jak wyjeżdżaliśmy, miały przyjść mrozy i opady śniegu, i rzeczywiście przyszły już dzień przed naszym wyjazdem.

Tego dnia musieliśmy wstać ok. 5:00, żeby zrobić kanapki na wyjazd i wybrać się na autobus do centrum Warszawy. Z centrum ok. 7:30 wsiedliśmy w autobus "Translud", którym dojechaliśmy (z przesiadką w Modlinie) do lotniska Warszawa Modlin (8 PLN od osoby, przejazd ok 1 godziny). Tym razem na bramkach nie pozwolono nam wnieść półtoralitrowej butelki wody "dla Szymona" tak, jak ostatnim razem na Okęciu. O 11:10 wylecieliśmy do Brukseli (Brussels Charleroi), skąd 3 godziny później dalej do Tangieru. Po raz pierwszy lecieliśmy tanimi liniami - Ryanair. Na pewno przyjemniej się lata zwykłymi liniami, ale nie było źle. W Brukseli musieliśmy wyjąć kilka rzeczy z rejestrowanego plecaka, bo jego waga była przekroczona o 1 kilo! W Warszawie przymknęli na to oko. Te wszystkie limity budziły w nas dużą frustrację, bo podróżując z dzieckiem trzeba wziąć od cholery różnych rzeczy - w sumie więcej niż dla nas obojga!

Po wylądowaniu w Tangierze przeszliśmy bezproblemowo kontrolę paszportową, wymieniliśmy trochę pieniędzy (1EUR = 11,65MAD) i pojechaliśmy taksówką do medyny (150 MAD) do hoteliku Maroma (200 MAD za pokój). Ciepła woda była tu tylko w godzinach 8:30-12:00. Pokoje i pościel były czyste, a obsługa miła.

Dzień 2. (17.01.2014. Piątek) Tangier – Chefchaouen

Noc była zimna, ale dostaliśmy grube koce, więc spało się dobrze. Szymon, jak rzadko kiedy, jak go położyliśmy tak spał do rana w jednej pozycji. Przykryliśmy go grubym kocem, ubraliśmy ciepło i nałożyliśmy czapkę. Spało nam się bardzo dobrze, ale o 5:10 obudziły nas gwałtownie i głośne śpiewy muezina. Gdzieś blisko nas musiał być meczet. Szymon zbudził się wystraszony, ale przytulony przez mamę szybko zasnął. My też szybko zasnęliśmy, ale zaraz potem znowu rozległ się śpiew i tak kilka razy. Nie wiemy czemu aż tyle razy śpiewano. Może dlatego, że to był piątek?

Zjedliśmy śniadanie i spakowaliśmy się bez pośpiechu. Potem wyszliśmy z medyny i złapaliśmy taksówkę, którą za 20 MAD pojechaliśmy na dworzec autobusowy, skąd odchodziły autobusy do Chefchaouen. Tam od razu znalazł się dla nas autobus (na dworcu nawołują do autobusów). Kupiliśmy bilety po 33 MAD i zapakowaliśmy nasze plecaki oraz

wózek do luku bagażowego. Starszy gość, który wkładał bagaże, zażądał od nas 30 MAD, ale zaczęliśmy się targować i musiał się zgodzić na naszą cenę 15 MAD. Chyba nie był zadowolony, ale sądzę, że to była uczciwa cena na taką trasę.

O 10:30 wyjechaliśmy w drogę. Tego dnia było pochmurno i chłodno - około 10 stopni Celsjusza, ale dla nas całkiem przyjemnie. Jedyńm minusem był przelotny deszcz.

Po godzinie jazdy dotarliśmy do Tetouan. Szymon połowę tej trasy przespał. W Tetouan mieliśmy półgodzinny postój. Do Chefchaouen dotarliśmy ok. 13:30. Trochę kropiło. Nałożyliśmy plecaki i poszliśmy szukać hotelu. Znaleźliśmy jeden koło starej medyny - El Manara (200 MAD za dwójkę z łazienką). Zjedliśmy kanapki i poszliśmy zwiedzać starą medynę. Odkryliśmy tam śliczne niebieskie uliczki, z których słynie Chefchaouen. Starówka kryje w sobie mnóstwo pięknych zaułków. Tutejsi ludzie jednak rzeczywiście nie lubią robienia zdjęć. Jak tylko przechodzą to od razu mówią lub machają żeby nawet przez przypadek nie zrobić im lub z nimi zdjęcia. Nie przepadają też za robieniem zdjęć ich domostw. Kiedy spacerowaliśmy, przyczepił się do nas fałszywy przewodnik. Był miły i rozmowny, ale podziękowaliśmy mu kilka razy, mówiąc że nie potrzebujemy przewodnika i się odczepił. Jednak po 10 minutach pojawił się z powrotem z inhalatorem w ręku prosząc nienachalnie o datek na nowy inhalator. Nie uwierzyłem mu, ale na odczepne daliśmy mu 1 MAD. Podziękował i poszedł sobie. Jakiś czas później zagadał z nami pewien młody chłopak. Po krótkiej rozmowie zaczął proponować nam trawkę na sprzedaż. Oferował nam też zwiedzanie farmy marihuany. Odmówiliśmy. Zaraz potem pojawił się kolejny chłopak, ale jemu również nie udało się nas skusić. Byli nieszkodliwi i nienachalni.

Podczas spacerowania trochę się rozpadało. Mocniejszy deszcz przeczekaliśmy pod dachem. Do hotelu wróciliśmy ok. 17:30. Ja miałem przemoknięty but. Chcieliśmy w recepcji załatwić suszarkę do włosów, żeby osuszyć kilka rzeczy, w tym mojego buta, ale albo nie mieli, albo nie zrozumieli o co nam chodzi. Hotel jak chyba wszystkie inne (albo zdecydowana większość) nie miał żadnego ogrzewania, więc na przeschnięcie mokrych rzeczy nie było szans. Dobrze, że włączyli nam ciepłą wodę pod prysznicem, chociaż w takim chłodziu nie chciało się nawet rozbierać. Czekala nas kolejna zimna noc. Szymona ubraliśmy w trzy warstwy oraz czapkę. Za oknem było co chwilę słyhać drobny deszcz.

Dzień 3. (18.01.2014. Sobota) Chefchaouen – Fes

Całą noc lał deszcz. Było zimno. Na szczęście Szymon znowu spał jak zabity i nie rozkopał się w nocy. Stwierdziliśmy, że musimy jak najszybciej dotrzeć na południe, gdzie będzie trochę cieplej.

Już nie pamiętam kiedy ostatnio spałem 10 godzin. Rano humor popsuł nam padający deszcz. Nie dość, że Szymon nie miał wodoodpornych ubrań, to jeszcze moje buty były mokre. To tylko zapowiadało jedno - zmokniemy wszyscy, a ja będę całkowicie pływiał w mokrych butach.

Wyszliśmy na dwór. Oczywiście deszcz ciągle padał. Zeszliśmy kawałeczek w dół i tam spytaliśmy o taksówkę jakiegoś parkingowego. Ten pomógł nam zatrzymać taksówkę. Razem z siedzącym już pasażerem zawieziono nas na jakiś dworzec autobusowy (10 MAD). Ciągle padało. Szybko weszliśmy na teren dworca i kupiliśmy od jakiegoś biletera bilety do Fes (33 MAD od os.). Musieliśmy poczekać ok. 20 minut na autobus. Według planu miał przyjechać o 9:30, ale spóźnił się trochę.

Kiedy się zapakowaliśmy, ściągnięto jeszcze od nas kasę za bagaże - 40 MAD, ale nie miałem siły się już wyklócać, że to za dużo. W autobusie spotkaliśmy parę Polaków. Też jechali do Fes.

Chociaż na suche skarpetki założyłem woreczki, to i tak całe mi zamokły. Autobus nie był ogrzewany, więc nic nie schło, a jedynie wychładzaliśmy się. Mieć mokre buty to jednak niewesoła sprawa!

Mieliśmy kilka niedługich postojów po drodze. Za oknem ciągle padał deszcz! Jeden z pasażerów kupił mandarynki i wszystkich dookoła poczęstował, w tym też nas. Szymon się ucieszył, bo bardzo lubi mandarynki, na które mówił wtedy "mandi". Kierowca jechał bez włączonych wycieraczek. Myślałem, że były popsute, ale pod koniec trasy zauważyłem, że kierowca kilka razy je włączył! Jednak najlepsze było na koniec, kiedy przed Fes deszcz na chwilę ustał. Wycieraczki rozsmarowały jakiś brud na szybie tak, że widoczność była beznadziejna. To jednak nie sprawiło żadnego kłopotu kierowcy. Jechał dalej z włączonymi wycieraczkami, które ciągle rozmazywały brud! Na szczęście dojechaliśmy cało. W sumie zajęło nam to 5 godzin. Deszcz padał nadal! Dobrze, że dworzec znajdował się tuż przy medynie Fas al Bali. Udaliśmy się tam szukać noclegu. Po drodze spotkaliśmy kilka osób oferujących noclegi. Ostatecznie skorzystaliśmy z pomocy jednego z nich. W tutejszej medynie pensjonaty i hostele pochowane są w bocznych ciasnych uliczkach. Przez medynę biegnie główny pasaż handlowy i odbijają od niego małe wąskie uliczki, w których można znaleźć noclegi. Można się poczuć jak w labiryncie!

Na nocleg wybraliśmy pokój w czyimś domu - 250 MAD za dwójkę wraz ze śniadaniem. Trzeba przyznać, że ciekawie wyglądają tutaj domy. Patrząc na ciasne uliczki miałem wrażenie, że mieszkanca są nieduże i ciasne, ale okazuje się, że wcale nie. Mają nawet coś w stylu małego dziedzińca.

Kiedy się rozpakowaliśmy i zjedliśmy po kanapce, zdecydowaliśmy się wyjść wymienić pieniądze i dotrzeć do słynnych garbarni Chouwara, pomimo deszczu. Pieniądze udało się wymienić w jakimś kantorze. Natomiast pytanie o drogę do garbarni skończyło się na tym, że zaprowadziło nas tam 2 młodych chłopaków. Wiedzieliśmy, że będą chcieli za to pieniądze, ale sami pewnie nie zdążylibyśmy tam tego dnia dojść, bo wyszliśmy ok 16:45.

Doprowadzono nas do sklepów, gdzie sprzedawano skóry produkowane w garbarni Chouwara. Jakiś facet zaprowadził nas na taras widokowy, z którego roztaczał się widok na słynne garbarnie. Chcieliśmy, aby zaprowadził nas na taras obok, z którego był lepszy widok, ale okazało się, że urzędowały tam psy, więc wróciliśmy na poprzedni. Facet w skrócie opowiedział nam o garbarniach i zaraz potem wróciliśmy z powrotem na dół. Droga na taras wiodła przez sklepy, więc w drodze powrotnej proponowano nam sprzedać wyroby ze skóry, ale podziękowaliśmy szybko, żeby nie zaczynać bezsensownych targów, skoro nic nie chcieliśmy. Na dole czekali na nas dwaj młodzi chłopcy, którzy nas tutaj przyprowadzili. Odprowadzili nas tam, gdzie się poznaliśmy. Oczywiście zażądali od nas pieniędzy. Dałem temu, który tak na prawdę nas prowadził 10 MAD (to raczej uczciwa cena, gdyż wcześniej mieliśmy propozycję zwiedzania całodniowego za 80 MAD). Nie był zadowolony, ale wyjaśniłem skąd ta cena i zbytnio nie dyskutował, ale zaczął jęczeć, że jeszcze jego kolega. Odpowiedziałem mu, że nie potrzebowaliśmy go. Ewa jednak zmiękną sądząc, że coś nam zrobią, więc daliśmy drugiemu 5 MAD. Odczepili się choć liczyli, że dostaną więcej. Sądzę, że jeśli nie chce się tutaj błędzić, to warto komuś zapłacić za oprowadzenie, bo medyna jest naprawdę jak labirynt, a drogowskazów żadnych nie ma. Następnym razem jednak spróbowałbym ustalić cenę z góry.

Buty miałem przemoczone. Zastanawiałem się jak będę funkcjonował w kolejne dni, bo przecież w tym chłdzie nie było szans na ich wyschnięcie. Tym bardziej, że kolejnego dnia też zapowiadali deszcz. Wniosek był tylko jeden. Musiałem kupić nowe suche buty. Tak też zrobiłem.

Wieczór minął nam standardowo. Postanowiliśmy, że skoro następnego dnia miało padać, to udamy się do Marakeszu. Zamiast się moczyć z Szymonem, to przeczekamy deszcz w pociągu. Od poniedziałku w całym Maroko miało się rozpogodzić.

Dzień 4. (19.01.2014. Niedziela) Fes – Marrakesh

Noc, podobnie jak ostatnia, była zimna. Kiedy się budziliśmy, sprawdzaliśmy czy Szymon nie rozkrył się. Dwa razy tylko wyciągnął rączki spod koca. Było tak chłodno, że nie chciało się wychodzić spod ciepłego koca. Poza tym całą noc padał deszcz. Jak rano wstaliśmy, padał nadal. Beznadziejna pogoda na zwiedzanie, szczególnie z dzieckiem. Zimno, padający deszcz, brak możliwości wysuszenia mokrych ubrań - to nas przekonało, że bez sensu tutaj siedzieć i utwierdziliśmy się w podjętej wczoraj decyzji o wyjechaniu stąd do Marakeszu. Tym bardziej, że od następnego dnia pogoda miała się znacząco poprawić!

Spakowaliśmy się do wyjścia i zeszliśmy na śniadanie, które gospodyni nam zrobiła na 7:40. Poprosiliśmy ją o to wczoraj, bo o 8:50 mieliśmy pociąg do Marakeszu. Próbowaliśmy się z nami targować, że na 8:00, bo to dla niej bardzo wcześnie, ale udało się ją przekonać na 7:40. Ludzie tutaj wstają później.

Po śniadaniu przyszło nam opuścić gościniec i złapać taksówkę. Deszcz niestety nie przestał padać. Lało jak z cebra! Na szczęście szybko złapaliśmy taksówkę. Nawet się nie targowaliśmy (15 MAD). Taksówkarz wysadził nas przed dworcem, ale musieliśmy jeszcze z 200 metrów iść w deszczu. Wyszliśmy w wilgotnych ubraniach po wczorajszym wieczorze, a na dworzec dotarliśmy jeszcze bardziej przemoczeni! Podróżowanie w taką pogodę bez odpowiedniego ubrania to tragedia. Żał było nam opuszczać już Fez, bo niewiele czasu tam spędziliśmy, ale w taką pogodę po prostu nie bylibyśmy w stanie zwiedzać.

Kupiliśmy bilety (195 MAD od os.) i zaraz potem udaliśmy się na peron, gdzie już był podstawiony pociąg. Zajęliśmy miejsca i czekaliśmy na odjazd. Niestety ruszyliśmy z półgodzinnym opóźnieniem – a czytaliśmy, że tutejsza kolej jest bardzo punktualna! Deszcz ciągle padał. Było chłodno. Z czasem jak jechaliśmy, zrobiło się cieplej i nawet słonecznie. Tak było w okolicach wybrzeża. Natomiast jak odbiliśmy w stronę Marakeszu słońce ponownie ustąpiło chmurom, ale chociaż deszcz nie padał. Gdzieś od połowy trasy ludzie musieli stać w przejściach, bo nie było już miejsc siedzących. Dobrze, że my wsiedliśmy na początku trasy. Po 6 godzinach podróż zaczęła nam się bardzo dłużyć. Szczególnie Szymon miał już dość, a przez niego i my mieliśmy udrękę. Do Marakeszu dojechaliśmy z godzinnym opóźnieniem - czyli w sumie jechaliśmy 8 zamiast 7 godzin! Wzięliśmy taksówkę pod plac Dżami al-Fana. Usłyszałem od taksówkarza, że zabierze nas za 15, ale na koniec okazało się, że chciał 50 (po angielsku te dwie liczby brzmią podobnie!). Wkurzyłem się i dałem mu tylko 25 MAD i odeszliśmy, a on pokręcił krzywo nosem i odjechał. Rozpoczęliśmy poszukiwania noclegu. Co chwilę ktoś podchodził do nas z ulotkami reklamującymi noclegi, ale ignorowaliśmy ich. Wstąpiliśmy do jednego hotelu, ale warunki były słabe. Szukaliśmy więc dalej. Jeden z naganiaczy zaproponował nam jakiś nocleg. Zaczęliśmy iść za nim, ale w pewnym momencie zobaczyliśmy jakiś hotel Hayat w wąskiej uliczce i poszliśmy tam, zostawiając go przed sobą. Miejsce okazało się fajne i wytargowaliśmy cenę 175 MAD za pokój 2-osobowy z łazienką. Zaraz po ubiciu targu przyszedł facet, który nas prowadził do innego hoteliku. Zaczął się awanturować z facetem, który nas zakwaterował. Na pewno o to, że ten niby nas zgarnął z jego rąk, chociaż to my sami tu trafiliśmy. Pokłócili się trochę i facet poszedł sobie.

My się rozpakowaliśmy i poszliśmy na plac Dżami al-Fana. Znowu zaczął kropić deszcz, ale na szczęście przelotny i można było pochodzić po placu. Wstąpiliśmy do obwoźnej restauracji na *tajin* z kurczaka – był całkiem smaczny. Pospacerowaliśmy sobie pomiędzy straganami. Kiedy kupowaliśmy orzechy u jednego sprzedawcy, ten zaprosił Szymona do siebie i poprosił, żeby im zrobić zdjęcie - będzie miał Szymon fajną pamiątkę. Sporo sprzedawców popisywało się polskimi słowami. W Marakeszu było dużo cieplej. Nawet noc zapowiadała się dużo cieplejsza!

Dzień 5. (20.01.2014. Poniedziałek) Marrakesh

Pierwsza połowa dnia upłynęła nam na poszukiwaniach wypożyczalni samochodów. Chcieliśmy znaleźć coś tańszego niż Avis, ale skończyło się i tak na tym, że wybraliśmy Avis, ze względu na to, że tylko tam dało się wykupić pełne ubezpieczenie z zerowym wkładem własnym.

Potem wróciliśmy do meczetu Kutubija. Obejrzeliśmy go z zewnątrz i udaliśmy się dalej w głąb medyny do medresy i muzeum Jusufa (60 MAD za bilety). Po zwiedzaniu postanowiliśmy skorzystać z podpowiedzi jednego z chłopaków i zobaczyć garbarnię. Dołączył do nas jeden chłopak. Powiedzieliśmy, że nie potrzebujemy pomocy ani przewodników. Odpowiedział, że jest studentem i że mieszka obok garbarni, więc nas doprowadzi i że nie chce żadnych pieniędzy. Stwierdziłem, że może nie będę z góry oceniał ludzi i dam mu szansę, choć Ewa twierdziła, że na pewno będzie chciał potem kasę. Stwierdziłem, że jeśli tak, to mu najwyżej nie damy.

Szliśmy z 10 minut. Przy bramie do garbarni przejął nas facet i zaczął nas oprowadzać i opowiadać o wyrabianiu skór. Mogliśmy robić zdjęcia. Na koniec zaproponował wejście do sklepu, ale podziękowaliśmy. Już mieliśmy się żegnać, a ten wypalił, że trzeba zapłacić. Zapytałem ile? 100 dirhamów - odpowiedział. Ja mu na to, że to nie fer i nie dam mu tyle. On, że to dla tych ludzi pracujących w garbarni. Dałem mu 50 MAD i podziękowałem. Było trochę nerwowo. Facet się oburzył, ale jak zacząłem odchodzić do klepnął mnie po ramieniu na znak, że niech mi będzie. Lada moment pojawił się student, który nas tutaj przyprowadził! W tym momencie stało się oczywiste, że to fałszywy przewodnik. Przeszliśmy kilka uliczek i powiedział nam jak dalej iść. Podziękował podając rękę, po czym powiedział, że chce jakiś prezent za swoją pomoc. Odparłem, że się umawialiśmy inaczej - bez płacenia. Zaczęło być nerwowo. Studenciak zaczął nalegać. Pojawiło się dwóch jego kolegów. Jeden z nich zasugerował nam, żebyśmy mu zapłacili, bo przecież nas oprowadzał. Byliśmy z dala od turystycznych miejsc. Policji nigdzie nie było widać. Nie chciałem mu nic dawać. Powiedział, że może nas dalej odprowadzić i wtedy zapłacimy. Zgodziłem się licząc na to, że dojdziemy do bardziej publicznego miejsca, gdzie będzie policja i wtedy postraszę go policją. Szliśmy dalej z 10 minut małymi uliczkami, a wokół nas, bliżej lub dalej, krążyli dwaj koledzy studenciaka. Nie wyglądało za ciekawie. W końcu studenciak powiedział, że tutaj mamy już drogowskaz i jest już blisko. Oczywiście domagał się nerwowo pieniędzy. Powtarzałem się, że nie taka była umowa, ale widząc, że koło nas stoją nadal jego kumple i jesteśmy z dala od głównego placu, za namową Ewy poddałem się, żeby nie ryzykować jakiejś bójki. Wyciągnąłem do niego rękę z 10 dirhamami, żeby się odczepił, ale ten nerwowo, że chce 20 MAD i nie wziął ode mnie pieniędzy. To nas jeszcze bardziej zdenerwowało i emocje wzięły chyba górę nad rozsądkiem i powtórzyłem za Ewą stanowczo, że jak chce to niech bierze tyle albo nic. Wziął z wielkim niezadowoleniem. Szybko się odwróciłem i zaczęliśmy iść przed siebie. Za plecami usłyszeliśmy przekleństwa - *you motherfacker*. Obawiałem się, że zaraz dostanę w plecy i zacznie się jatka! Szliśmy jednak dalej przed siebie nie oglądając się, żeby nie wyglądało na to, że odwracamy się w panice. Dopiero po kilkunastu sekundach obejrzałem się, żeby sprawdzić czy nie szli za nami, ale nie było ich widać. Szliśmy dalej. Sprawdziliśmy jeszcze raz - nie było ich. Odczepili się. Byłem wkurzony i zdegustowany, że ci fałszywi przewodnicy to nie są pojedynczy nieszkodliwi ludzie, ale wręcz zorganizowane bandy! Czułem porażkę. Byłem ciekaw co by się stało gdybym się uparł, że nie dam mu pieniędzy. Jednak górę wziął chyba rozsądek, aby na wszelki wypadek nie mieć kłopotów w obcym kraju.

Po jakichś 5 minutach doszliśmy do placu Dżami al-Fana. Ewa zobaczyła zaklinaczy węży i chciała, żebym zrobił im zdjęcie. Odpowiedziałem jej, że będą chcieli kasę. Spytałem nawet faceta ile chce kasy za zdjęcie. Odpowiedział, że tyle, ile damy. Powiedziałem Ewie, że

pewnie zechce 50 albo nawet 100 MAD. Ona, że na pewno nie tyle. Po właśnie przeżytej historii ze studentem miałem serdecznie dość tych wszystkich naciągaczy. Ewie jednak zależało na zdjęciu. Zgodziłem się. Po zdjęciach chciałem dać dla gościa 5 MAD. Ten z oburzeniem, że należy się 40! Znowu ta sama historia! Dałem 5 i odeszliśmy.

Odechciało mi się już być w Maroku po tym wszystkim. Jak łatwo kilku ludzi potrafi zepsuć humor i opinie o tym kraju. Eh!

Na koniec dnia poszliśmy na obiadokolację. Tym razem zamówiliśmy kuskus z kurczakiem (30 MAD), aby i Szymon mógł coś skubnąć. Było syto i smacznie. Po posiłku wstąpiliśmy na sok pomarańczowy (4 MAD szklanka). Pochodziliśmy jeszcze z Szymonem po placu, żeby mógł się trochę wybiegać, i poszliśmy do hotelu.

Dzień 6. (21.01.2014. Wtorek) Marrakesh – Ouarzazate

Wstaliśmy po 7:00. Zjedliśmy śniadanie, spakowaliśmy się i poszliśmy na autobus podmiejski nr 1 (4 MAD/os.), którym dojechaliśmy do biura Avis. Tego dnia była piękna słoneczna pogoda - żadnej chmurki. Nareszcie słońce i ciepło! Poczuliśmy nową energię.

W Avis dopełniliśmy formalności i ruszyliśmy w drogę samochodem marki Peugeot 206+. Miałem trochę obaw czy uda nam się szybko wyjechać z Marakeszu bez nawigacji, ale droga wyjazdowa na szczęście okazała się dość prosta (wskazał ją nam pracownik Avis). Przed wyjazdem naszykowałem w telefonie nawigację, ale z niewiadomych mi przyczyn w Maroku ani razu nie mogłem złapać sygnału GPS! Cały misterny plan wziął więc w łeb! Trudno. Jeździliśmy już tak w Nowej Zelandii, więc może i tym razem się uda.

Przy wyjeździe z miasta wstąpiliśmy do supermarketu, ale nie znaleźliśmy tam słoiczek dla Szymona. Były chusteczki nawilżające, pieluchy, ale słoiczek nie, a nasze z Polski się już kończyły.

Następnie skierowaliśmy się na Ouarzazate przez przełęcz Tizin Tichka. Na szczęście pogoda była słoneczna i droga była otwarta oraz sucha. Po drodze mijaliśmy dużo pięknych widoków, włącznie z malowniczo położonymi wioskami. Mijaliśmy też sporo sprzedawców kolorowych minerałów. Kamienie wyglądały niezwykle, ale jak się później dowiedzieliśmy, były sztucznie barwione!

Koło godziny 16:00 dojechaliśmy do Ajt Bin Haddu. Zwiedziliśmy tę słynną osadę (bilet wstępu 10 MAD). Szymon sporo przeszedł sam, nawet po schodach! Często nawet chciał iść sam, bez naszej pomocy. Byliśmy pod wrażeniem tego miejsca.

Po jakiejś godzinie lub półtorej wsiedliśmy w samochód i skierowaliśmy się dalej do Ouarzazate. Przy wyjeździe z parkingu wyszedł jakiś staruszek z laską. Pewnie chciał zapłaty za parking, ale udałem, że nie wiem o co chodzi i po prostu go ominąłem, w taki sam sposób jak tutejsi kierowcy omijają pieszych na jezdni :).

W Ouarzazate znaleźliśmy hotel Royal (150 MAD za pokój 2-osobowy z łazienką i gorącym prysznicem). Samochód zaparkowaliśmy przy ulicy przy hotelu. Spytałem recepcjonistę, czy można parkować przy ulicy i czy to jest bezpieczne. Potwierdził, że tak. Spytałem też czy muszę gdzieś płacić za parking. Odpowiedział, że tak, ale później, po 20:00 – dla tzw. *gardiena* (10 MAD). Wyszedłem, więc po 20:00, a recepcjonista wykombinował dwóch *gardienów*. Jako, że było ich dwóch to zażyczyli sobie 20 MAD. Jeden z nich rozmawiał ze mną po polsku - ale znał tylko kilka zwrotów. Po tym wszystkim zacząłem się zastanawiać czy jakbym się nie upominał o płatność, to czy byśmy musieli coś komuś płacić. Tym bardziej, że *gardieni* nawet nie pytali, który to mój samochód! Z drugiej strony wyczytałem i słyszałem, że niby wszędzie w Maroku płaci się komuś za parking i tak na prawdę cholera wie jak jest.

Dzień 7. (22.01.2014. Środa) Ouarzazate – wąwóz Tudra

Po śniadaniu wyroiliśmy się z pokoju ok. 8:30. Zapakowaliśmy wszystkie rzeczy do samochodu i zrobiliśmy drobne zakupy spożywcze. Przeszliśmy się na pobliski plac-deptak, po czym wróciliśmy do samochodu. Obok w kafejce siedział *gardien*, któremu wczoraj płaciłem za parking. Podszedł do nas i chwilę pogadaliśmy. Jak się okazało znał bardziej czeski niż polski i był to jedyny język, w którym mogliśmy się porozumieć.

Skierowaliśmy się do studia filmowego (bilety po 50 MAD od osoby). Myśleliśmy, że będzie to jeden wielki kicz, ale miło się zaskoczyliśmy. Kręcono tu wiele filmów, m. in. *Gladiator*, *Powrót mumii*, *Klejnot Nilu*, *Astelix i Obelix*, *Mojżesz*. Pozostało tu trochę eksponatów z tych filmów, ale przede wszystkim dużo scenerii. Można tutaj zobaczyć świątynie z *Misji Kleopatry*, stare miasteczko z *Mojżesza* czy *Gladiatora*, wyrzutnie z *Astelixa*, samolot z *Klejnot Nilu*. Najciekawsze było to, że większość tych scenografii jest zbudowana ze styropianu! Byliśmy pod wielkim wrażeniem.

Kolejnym celem stała się kazba Taurirt, leżąca na wschodnich obrzeżach Ouarzazate (bilet 20 MAD). Kazba z zewnątrz znacznie bardziej nam się podobała niż w środku.

Przy wyjeździe z parkingu czaił się parkingowy. Zauważyliśmy, że turyści wyjeżdżający przed nami oleli go i pojechali dalej. Zrobiłem to samo. Po ostatnich przekrętach na nas jakoś morale mi opadły i przestałem się tym przejmować.

Kolejnym punktem programu stała się dolina i wąwóz Tudra. Droga okazała się dłuższa niż myśleliśmy, ale opłaciło się! Dolina i wioski w niej położone są bardzo malownicze. Zaś najbardziej wąska część wąwozu robi duże wrażenie. Po obu stronach ściany skał wzbijają się pionowo 300 metrów w górę. Niesamowite dzieło natury!

Dzień się już powoli kończył, więc postanowiliśmy przenocować na miejscu. Przemawiała też za tym sama okolica - znacznie bardziej kameralna i przyjazna niż w Boumale Dades. Trafiliśmy do hotelu Azules (150 MAD za dwójkę z łazienką i WiFi, zaś 300 MAD ze śniadaniem i kolacją). WiFi się nam przydało, bo po wschodniej stronie Atlasu straciliśmy zasięg komórkowy i nie mieliśmy jak dać znać rodzinie, że wszystko ok. Noc jak zwykle była bardzo zimna! Dobrze, że mieliśmy samochód, bo w nim mogliśmy się ogrzać i posuszyć mokre ubrania i drobne pranie.

Dzień 8. (23.01.2014. Czwartek) Tudra – Dades – Ouarzazate

Tego dnia z hotelu Azul wyjechaliśmy o 8:00. Pogoda była słoneczna. Światło o tej porze było świetne do zdjęć. Cieszyliśmy się bardzo, że znowu pojawiło się słońce, chociaż wiedzieliśmy, że po południu miało się zachmurzyć i nawet pokropić.

Jechaliśmy do doliny Dades. Miejsce to okazało się szalenie malownicze. Wiedzieliśmy, że ma tam być głęboki wąwóz, ale sam dojazd przez dolinę dostarczył nam dużo większych wrażeń niż sam wąwóz. Naszym zdaniem miejsce to jest oczywiście najbardziej atrakcyjne w słoneczny dzień. Za wąwozem podjechaliśmy jeszcze kilka kilometrów, ale nie dojechaliśmy do samego Msemrir. W drodze powrotnej przez dolinę Dades dość mocno się zachmurzyło, a później rozpadał się przelotny deszcz. Jednak, kiedy dojeżdżaliśmy do Skoura, roz pogodziło się - chmury deszczowe zostały za nami i z boku. Dzięki czemu mogliśmy się nadal cieszyć słońcem. W taką pogodę jest dość ciepło o tej porze roku. Jedynie wiatr, jeśli jest, potrafi mocno wyziębnić. W Skoura obejrzeliliśmy kazbę Amirhidl, ale tylko z zewnątrz. Potem dojechaliśmy do Ouarzazate, gdzie zatrzymaliśmy się

na noc ponownie w hotelu Royal (150 MAD). Na kolację udaliśmy się do jednej z restauracji przy placu el-Mouahidine. Tutaj przy okazji Szymon mógł się trochę wybiegać.

Tego wieczora postanowiliśmy ołać uiszczenie opłaty dla *gardiena*. Po prostu zaparkowaliśmy auto przy ulicy i tak je zostawiliśmy.

Dzień 9. (24.01.2014. Piątek) Ouarzazate – Taghazout

Tego dnia wyszliśmy z hotelu kilkanaście minut po 7:00. Jak szliśmy do samochodu, przypałętał się do nas *gardien* - ten sam co ostatnio. Zapłaciłem mu 10 MAD i nie protestował. Wsiadliśmy w samochód i ruszyliśmy w długą drogę. Pogoda była słoneczna, a Atlas wysoki w kolorach wschodzącego słońca był przepiękny. Jechaliśmy i nie mogliśmy się nacieszyć widokami. Kierowaliśmy się na Agadir. Na tej trasie rzadko mijaliśmy wioski, więc można było jechać szybko. Po drodze zrobiliśmy kilka przystanków na rozprostowanie nóg. Kiedy dojechaliśmy do Agadiru, postanowiliśmy się zatrzymać w jakiejś okolicznej wiosce. Dotarliśmy do Taghazout. Tutaj ciężko było znaleźć jakiś schludne miejsce na nocleg – wszystkie pokoje w hotelach były pozajmowane. Było tutaj bardzo dużo serferów. Trafiliśmy na syfiastą kwaterę prywatną. W sumie żałowaliśmy, że się tutaj zatrzymaliśmy! Po wniesieniu rzeczy na kwaterę, poszliśmy na plażę, gdzie Szymon mógł się trochę wyszaleć. Po zachodzie słońca wróciliśmy do naszej noclegowni.

Dzień 10. (25.01.2014. Sobota) Taghazout – Agadir

Ten dzień upłynął nam bardzo spokojnie. Około godziny 9:00 wyjechaliśmy do doliny Paradise Valley. Dojechaliśmy samochodem do miejsca, gdzie idzie się pieszo szlakiem wzdłuż potoku. Doszliśmy do znanego miejsca z naturalnym basenem, gdzie często ludzie skaczą z półek skalnych do wody (latem). Tam 3 miejscowych chłopaków kąpało się i skakało do wody z niższych półek. Zastanawialiśmy się jak im nie było zimno w tej wodzie!?

Potem wróciliśmy na bardziej płaski teren, gdzie zatrzymaliśmy się na posiłek i tam Szymon mógł bezpiecznie wyszaleć się. Blisko nas był rozbity biwak, skąd dolatywał do nas zapach marihuany. Od rana świeciło słońce i było bardzo ciepło – jakiś 25 stopni Celsjusza!

Po przerwie wróciliśmy na parking. Zapłaciliśmy *gardienowi* 5 MAD i pojechaliśmy do Agadiru szukać noclegu. Przez jakiś czas nie mogliśmy znaleźć żadnego z tańszych hoteli (przydałaby się tutaj nawigacja), ale pytając przechodniów o drogę w końcu się udało. Trafiliśmy do hotelu Diaf, gdzie za pokój z łazienką zapłaciliśmy 160 MAD. Był też darmowy sygnał WiFi. Wieczorem *gardienowi* zapłaciliśmy 10 MAD za nadzór auta.

Po zakwaterowaniu wybraliśmy się nad ocean. Po drodze wstąpiliśmy do jednego z większych sklepów, gdzie pierwszy raz trafiliśmy na słoczek z obiadkami dla dzieci (24-29 MAD!). Na plaży Szymon porządnie się wybiegał. Tutaj kilka razy marokańskie dziewczyny podchodziły do Szymona i całowały go w dwa policzki bez pytania nas o zgodę! Nie był to już pierwszy raz! Co zrobisz, takie tutaj zwyczaje.

Po zachodzie słońca ruszyliśmy w drogę powrotną do hotelu. Wstąpiliśmy do jakiejś restauracji, gdzie za 40 MAD za kuskus z mięsem najedliśmy się aż nadto. Takich wielkich porcji jeszcze nie trafiliśmy wcześniej. Jedzenie było bardzo smaczne.

Wieczorem miejskie termometry pokazywały 16 stopni, ale w krótkim rękawku było chłodno. Było trochę wietrznie.

Dzień 11. (26.01.2014. Niedziela) Agadir

Ten dzień okazał się dla nas pechowy. Wybraliśmy się do Narodowego Parku Sus Massa. Bliżej naszego celu zaczęliśmy pytać o drogę. Jeden z przechodniów chciał nam wytłumaczyć po francusku jak dojechać. Nie mogliśmy go jednak zrozumieć. Wsiadł do nas. Myśleliśmy, że podjedzie z nami kilka kroków, żeby nam pokazać zjazd, ale ten jechał i jechał. Nic się nie rozumieliśmy. Wiedział jedynie, że chcemy jechać do parku. Pytał o drogę, ale w końcu zwątpiliśmy, bo nikt nie wiedział o co nam chodzi i poza tym na horyzoncie było widać tylko stępy i pustynie. Spodziewaliśmy się trochę więcej zieleni (w przewodniku był wymieniony też jakiś las). Poddaliśmy się i zawróciliśmy do Agadiru. Gość jechał dalej z nami. Zastanawialiśmy się co z tego wyniknie. Jakoś na migi dogadaliśmy się i wyszło, że on chce jechać do jakiejś miejscowości pod Agadirem, ale nam nie było tam po drodze, bo trzeba by było odbić w bok ok. 15 km w jedną stronę. Daliśmy mu do zrozumienia, że nie zawieziemy go tam. Wsiadł oburzony mówiąc "mersi". Uf, udało się go pozbyć. Więcej nikogo ze sobą nie bierzemy! Wróciliśmy do Agadiru. Zjedliśmy kanapki i poszliśmy do parku Vallee des Oiseaux (dolina ptaków). Tego dnia wpuszczali za darmo. Park bardzo fajny. Przypomina mini zoo. Są tam też dwa place zabaw dla dzieci. W parku było bardzo dużo rodzin z dziećmi (tubylców). Szymon również pobawił się tam. Był też zaintrygowany niektórymi ptakami i innymi zwierzętami.

Potem poszliśmy pospacerować wzdłuż plaży. Szymon mógł się do woli wybiegać. Na koniec dnia wstąpiliśmy do restauracji, w której byliśmy dzień wcześniej. Zamówiliśmy tym razem szaszłyk marokański, krewetki w sosie pomidorowo-paprykowym oraz omleta dla Szymona. Jedzenie było bardzo smaczne. Spotkaliśmy też tam trójkę młodych Polaków, którzy zaciągnęli się na 3 miesiące do pracy na statku. Pływali zazwyczaj między Francją a Marokiem. Jak się z nimi widzieliśmy, siedzieli już 2 tygodnie na redzie w Agadirze. Zostały im wtedy jeszcze 2 miesiące pracy. Ciekawy sposób na ucieczkę od naszej zimy. Choć z drugiej strony tak bardzo ciepło na oceanie i we Francji w tym okresie nie jest.

Ok 19:00 wróciliśmy do hotelu. *Gardiena* nie widzieliśmy, więc czekaliśmy na rano.

Dzień 12. (27.01.2014. Poniedziałek) Agadir – Marrakesh

Tego dnia zdecydowaliśmy się wracać do Marakeszu przez przełęcz Tizi n'Test. Po drodze wstąpiliśmy do Touradante, malowniczo położonej miejscowości na tle Atlasu Wysokiego. Tutejsza medyna otoczona jest ciekawym ponad 5 kilometrowym murem, który podobno zmienia kolor w zależności od pory dnia. Najbardziej utkwił w nas widok murów na tle ośnieżonych szczytów Atlasu. Tutaj przejechaliśmy się powozem konnym *caleches* po medynie (50 MAD za pół godz.). Szymon był bardzo zaintrygowany. Fajnie, że i jemu się podobało. Zawsze kiedy przechodziliśmy koło zaprzęgów konnych mówił „pata taj” i zawsze chciał się przy nich zatrzymać i oglądać. Tym razem miał okazję się przejechać „pata taj”.

Następnie wyruszyliśmy w dalszą drogę. Pierwszy odcinek tej trasy, tj. od trasy N10 do przełęczy, jest wg przewodnika Pascala najstraszniejszym, a sama trasa dość niebezpieczna i mroząca krew w żyłach. Jak dla nas opis ten jest przesadzony. Trasa wcale nie była szczególnie niebezpieczna. Jedynie asfalt pozostawiał w wielu miejscach sporo do życzenia (dziury). Trasa okazała się dość kręta, a przez to długa i męcząca dla pasażerów. Czas nas gonił, bo tego dnia musieliśmy odstawić wypożyczoną auto. Żeby zyskać trochę na czasie zacząłem jechać trochę dynamiczniej. Ewa wzięła wcześniej *lokomotiv*, więc czuła się nie najgorzej. Szymon zaś nas zaskoczył i w pewnym momencie zwymiotował. Musiał to być

dla niego duży szok, bo zdarzyło mu się to pierwszy raz. Był wystraszony i drżał. Szybko go wytarliśmy i przebraliśmy w nowe ubranie. Wyczyściliśmy siedzenie. Na szczęście nie było w ogóle czuć odoru wymiocin! Jedyny plus tej całej sytuacji był taki, że dowiedzieliśmy się, że Szymon osiągnął już taki wiek, że może dostać choroby lokomocyjnej, i nie stało się to w naszym samochodzie:).

Ruszyliśmy dalej. Jechałem już bardzo łagodnie, a Szymon siedział u Ewy na kolanach, bo fotelik był mokry. Poza tym Szymon nie chciał w nim już siedzieć - widocznie źle mu się kojarzył. Po kilkunastu minutach jazdy Szymuś zasnął. Całe szczęście. Można było odrobinę przyspieszyć. Czas nieubłaganie uciekał, a kilometry zmniejszały się ślamazarnie. Nie byliśmy pewni do której godziny Avis ma otwarte biuro - do 18:00 czy 19:00? Słońce zaszło już za horyzont, a my jeszcze nie byliśmy w Marakeszu!

W końcu dojechaliśmy do miasta ok 18:20! Szczęśliwie udało nam się trafić bez pomyłek do biura Avis. Ewa wysiadła i poszła zgłosić, że już wróciliśmy, a ja pojechałem się zawrócić i dojechać do biura.

Początkowo biuro wyglądało na zamknięte, ale na szczęście pojawił się pracownik Avis i mogliśmy zdać samochód! Okazało się, że biuro było otwarte do 19:00.

Po wypakowaniu się i zdaniu auta poszliśmy na przystanek autobusowy. Wszystkie autobusy były zatłoczone. Kiedy próbowaliśmy wsiąść do jednego z nich kierowca zamknął środkowe drzwi w momencie, kiedy wózek z Szymonem mieścił się w połowie w autobusie (my byliśmy na zewnątrz)! Baliśmy się, że autobus zaraz ruszy, a my nie mogliśmy otworzyć drzwi ani wyciągnąć wózka. Zaczęliśmy krzyczeć i machać do lusterka, ale kierowca nie zauważył nas. Zaczęłem biec na czoło autobusu, ale w końcu kierowca otworzył drzwi. Co za debil! W ogóle nie patrzył w lusterka jak zamykał drzwi! Poczekaliśmy na następny autobus. Jechaliśmy nim na gapę, bo nie mieliśmy jak dotrzeć do kierowcy po bilety. Okazało się, że autobus jakoś inaczej pojechał, więc wysiedliśmy wcześniej. Dalej szliśmy na piechotę. Musieliśmy się dopytać o drogę. Na szczęście nie był bardzo daleko.

Poszliśmy do hotelu Hayat, w którym nocowaliśmy wcześniej. Dostaliśmy ten sam pokój, co ostatnio.

Było już po 20:00. Wyszliśmy jeszcze na kolację. Najpierw wstąpiłem do stoiska ze ślimakami. Byłem ciekaw ich smaku. Nie smakowały źle, ale moim przysmakiem nie pozostaną. Potem poszliśmy na posiłek do jednej z garkuchni. Zamówiliśmy *pastille* z kurczakiem (bardzo smaczna, jest to słodkie danie), kiełbaski i frytki. Smaczne było. Po kolacji poszliśmy do hotelu.

Dzień 13. (28.01.2014. Wtorek) Marrakesh

Ten dzień przeznaczaliśmy na zwiedzanie Cyber Parku oraz zakupy. Park bardzo nam się podobał. Są tam dostępne stanowiska z komputerami podłączonymi do internetu oraz w wielu miejscach jest dostępna sieć WiFi.

Wieczorem poprosiliśmy właściciela hotelu Hayat, aby zarezerwował nam taksówkę na lotnisko na wczesny rano (100 MAD). Zjedliśmy ostatnią kolację na placu Jami al-Fana i za ostatnie dirhamy wypiliśmy 3 soki pomarańczowe. Około 21:00 poszliśmy spać.

Dzień 14. (29.01.2014. Środa) Marrakesh – Warszawa

Wstaliśmy o 3:30, żeby się wyszykować na taksówkę, która miała przyjechać na 4:30. Mile zaskoczyła nas właścicielka, bo ok. 4:00 przysłała do nas i zapukała, żeby się upewnić że

wstaliśmy. Taksówka podjechała bardzo blisko. Na lotnisko jechaliśmy z 15 minut. Zdaliśmy bagaże, nakarmiliśmy Szymona i przeszliśmy odprawę celną. O 6:40 wystartowaliśmy do Paryża (Paris Beauvais). Tam musieliśmy czekać 3 godziny na lot do Warszawy. Kiedy czekaliśmy, podeszła do nas kobieta - Polka. Powiedziała, że jej ojciec leci do Warszawy, nie zna języka obcego i obawia się czy sobie poradzi na lotnisku, i spytała nas czy nie mógłby się do nas doczepić. Wtedy poczuły się raźniej. Zgodziliśmy się oczywiście. Do lotu trzymaliśmy się razem.

W Warszawie wylądowaliśmy o 16:40. Na dworze było -11 stopni Celsjusza, zaś temperatura odczuwalna wynosiła -18 stopni! Po odebraniu bagaży wsiedliśmy w autobus miejski. Tego wieczora na Warszawskich ulicach panowały duże korki! Jechaliśmy 2 razy dłużej niż normalnie. W trakcie podróży zacząłem się źle czuć. Najpierw miałem mdłości, a potem zaczęło mi się ostro zbierać na biegunkę. Myślałem, że nie wytrzymam. Przemarznięty i z gorączką 38,5 stopnia cudem dotarłem do domu. Tej nocy zebrało mnie też na wymioty, po których poczułem się już znacznie lepiej. Przez kolejne dwa dni wyleczyłem się z zatrucia. Nie wiem nawet czym się zatrulałem. Nie pamiętam też, abym wcześniej przechodził tak ostre zatrucie.

Maroko pozostawiło w nas mieszane uczucia ze względu na „fałszywych przewodników” i żądanie pieniędzy za wszystko na każdym kroku. Poznaliśmy również wielu życzliwych i sympatycznych ludzi. Jednak tęsknić za tym miejscem chyba nie będziemy.